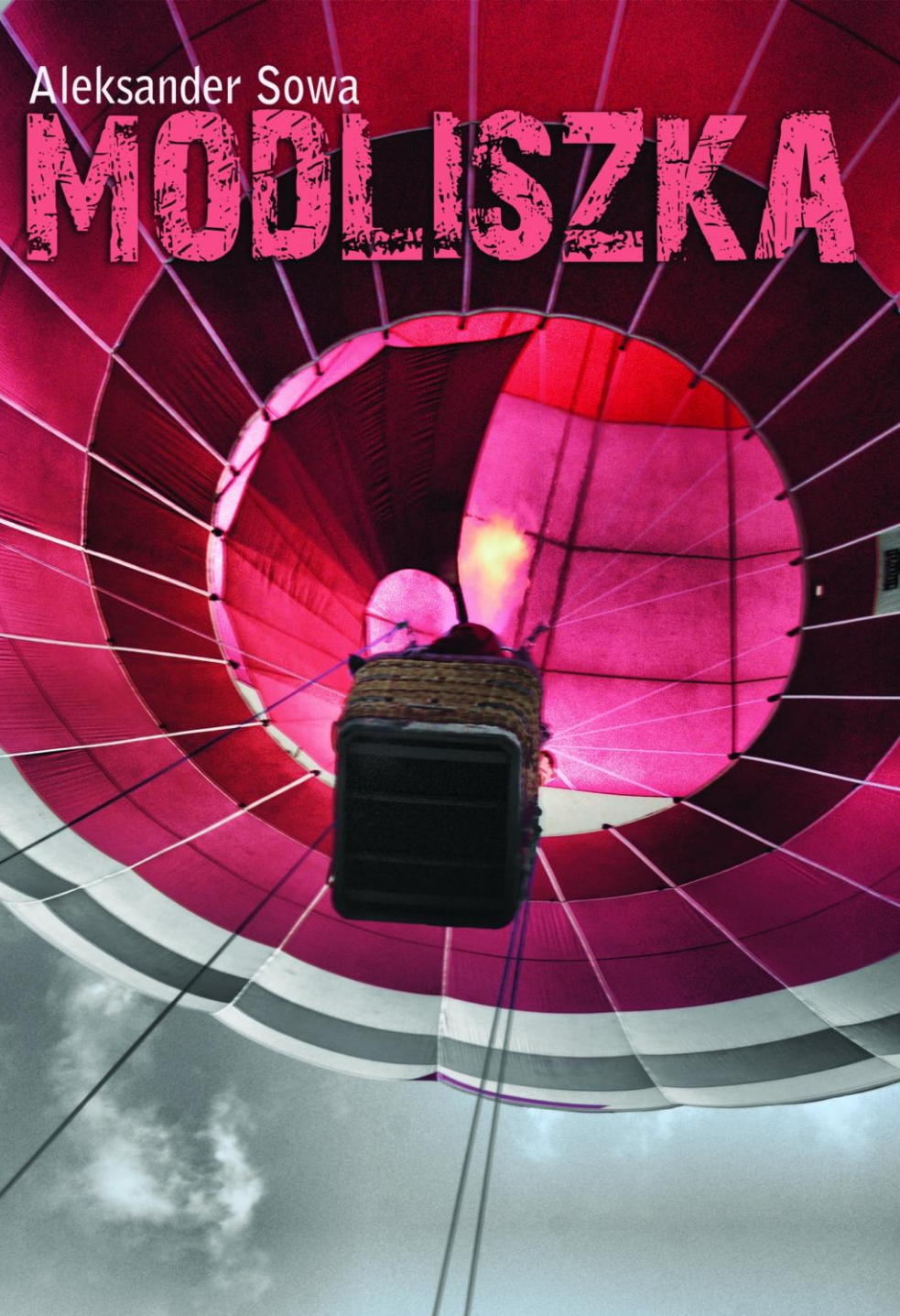


Aleksander Sowa

MODLISZKA



modliszka

Aleksander Sowa



© Copyright by Aleksander Sowa 2012

Okladka: Małgorzata Orlik & Aleksander Sowa

Zdjęcia: Adrian Wesołowski & Aleksander Sowa

Redakcja i korekta: Łukasz Mackiewicz –

eKorekta24.pl

ISBN: 978-83-272-4138-2

--

Aleksander Sowa | Self-Publishing

www.wydawca.net

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Opole, grudzień 2013 r.

1.

Nie zamierzałem zostać mordercą. Nie chciałem być samobójcą – pomyślał w ów chłodny, grudniowy poranek, nim zapadł w sen, który nigdy miał się nie skończyć.

Upadając na samochód, łamie kręgosłup. Odbija się od dachu furgonetki i spada na żywopłot. Wreszcie zatrzymuje się na trawniku, na plecach, z rękoma rozrzuconymi niczym nagus od da Vinci.

Chwilę później kierowca sprintera 315 prowadzi samochód bez niepotrzebnego ryzyka, ale zdecydowanie i pewnie. Nie mijają cztery minuty, jak zatrzymuje karetkę nieopodal, przywożąc sanitariusza, pielęgniarkę oraz lekarza.

– Doktorze! Szybko, tutaj – ktoś krzyczy pochylony nad ciałem.

– Intubacja! Trzysta miligramów atropiny w tętnicę podobojczykową – szepcze lekarz, oceniwszy w bladej plamce światła źrenicę mężczyzny.

Mężczyzna nie oddycha i nie ma tętna. Od śmierci dzieli go tylko sekundy. Laryngoskopem lekarz sprawdza gardło, wprowadza plastikową rurkę w tchawicę i przekręca zawór.

– Zaintubowany.

Ratownik uporczywie uciska klatkę piersiową. Mostek ofiary rytmicznie ugina się co pół sekundy pod naporem wyprostowanych w łokciach rąk chłopaka w czerwonej kurtce.

– Podłączam – lekarz dodaje o wiele spokojniej. Na klatce piersiowej mężczyzny pojawiają się elektrody.

Jest chłodno, w powietrzu widać pierwsze tej zimy płatki śniegu. Spadają na ziemię niechętnie, jakby z zastanowieniem.

– Widzę go! – obwieszcza, rzuciwszy okiem na wyświetlacz elektrokardiogramu.

– Strzelamy? – ratownik odzywa się po raz pierwszy.

– Tak.

– Trzysta?

– Trzysta dwadzieścia – lekarz poprawia, szacując wagę ciała ofiary.

Jest gotów do defibrylacji. Właściwie, gdy otrzymywali wezwanie, powinni byli wziąć tylko worek na zwłoki. Upadek z wysokości przecież tylko jedno może oznaczać. Ale na zleceniu była jasna informacja. Ofiara żyje.

– Jest? – upewnia się lekarz.

– Tak!

– Sternum, apex gotowe – mówi, przykładając lewą elektrodę w okolicę żebra. Prawą przyciska do bladej skóry poniżej obojczyka. – Strzelam! – ostrzega.

Ratownik przerywa masaż. Rażone prądem ciało się unosi. Linia na wyświetlaczu EKG nagle się załamuje. Wpatrując się w ekran, lekarz dodaje pełnym ulgi głosem:

– Jest serce!

Po chwili wahania, już spokojniej, wylicza:

– Wenflon, kołnierz, szyny, twarde nosze.

W myślach tymczasem ocenia szanse mężczyzny przed sobą. Mniej więcej żadne... Jeden, dwa procent. Wprawdzie udało się wznowić akcję serca – analizuje – i pacjent żyje. Zostanie zabezpieczony do przewiezienia, oddycha, ale jest nieprzytomny i ma liczne obrażenia. Umrze, nim dojedziemy do szpitala – myśli.

W ciągu kilku minut szyny na rękach, nogach i kołnierz na szyi unieruchamiają ciało poszkodowanego. Siostra zakłada opatrunek na obficie krwawiący łuk brwiowy.

– W porządku – mówi.

– Zabieramy go? – Lekarz napotyka pytający wzrok ratownika.

W niebieskich oczach chłopaka widać tylko zmęczenie. Coraz większe płatki śniegu zaczynają wirować nad ziemią. Jest jeszcze zimniej.

– Tak.

Nosze z mężczyzną trafiają do wnętrza karetki. Teraz muszą dowieźć pacjenta żywego, więc liczy się każda minuta. Kierowca skupiony na jeździe pędzi do Izby Przyjęć Wojewódzkiego Centrum Medycznego w Opolu. Mimo wyjącej syreny i błyskających świateł nagle karetka się zatrzymuje.

– Szlag by trafił – kierowca klnie.

– Cholera, czemu nie jedziemy? – Lekarz wyraźnie się niecierpliwi. – Musimy go dowieźć!

Nim jednak kierowca zdąży cokolwiek odpowiedzieć, lekarz rzuca ostrzegawczo:

– Uwaga! Schodzi!
– Adrenalina?
– Trzy miligramy – odpowiada pielęgniарce. – W ży-
lę!

Pielęgniarka przesuwа tłok strzykawki, а lekarz chwyta elektrody. Ratownik skrzyżowanymi na klatce piersiowej rękoma znów uporczywie uciska mostek.

– Trzysta pięćdziesiąt – dodaje lekarz, patrząc chłopakowi w oczy. – Dobra, strzelam – ostrzega.

Nie czekając odpowiedzi, przykładа elektrody do nagiej skóry. Ciało mężczyzny naprężа się.

– Co tam się dzieje? – krzyczy w kierunku kierowcy.

– Nie mogę przejechać, zablokowała przejazd.

– Kurrrrwa! Zejdzie nam zaraz – lekarz denerwuje się głośno.

Prawdę mówiąc, nie wierzy już, że dowiozą pacjenta żywego. Mieli już serce. Oddychał, а tu nagle migotanie.

Kierowca trąbi. Na szczęście kobieta za kierownicą przytomnieje. Złotawy daewoo matiz przesuwа się. Padający już gęsto śnieg ogranicza widoczność.

– Dobra, ruszam – słyszą.

Mężczyzna za kierownicą natychmiast dodaje gazu. Chwilę później już pędzą Ozimską w gęstniejącym od śniegu wilgotnym powietrzu.

– Chyba go mamy – lekarz szepcze, wpatrując się w niebieską kreskę elektrokardiogramu.

Pielęgniarka obrzuca lekarza zaskoczonym spojrzeniem. Ratownik po raz kolejny przerywа masaż. Ra-

miona mogą odpocząć. Na czarnym tle wyświetlacza linia życia płynie wyraźnie.

Wszystko, co dzieje się z pacjentem, jest poza kierowcą. On musi się odciąć. Dla niego liczy się rytm syreny. Wsluchuje się w zawodzące dźwięki jak w muzykę. Wyprzedza ustępujące miejsca samochody. Zerknąwszy w lusterko, dostrzega w migotliwym, niebieskim blasku świateł bladą twarz mężczyzny na noszach. To nie jego rzecz. Wybór jest prosty. Jeśli źrenica reaguje na światło, pozostaje resuscytacja. Jeśli źrenica nie reaguje, można człowieka zakopać. Kierowca ma jak najszybciej dotrzeć do ofiary i wrócić z nią do szpitala.

– Ile jeszcze? Słyszysz? Ile? – lekarz wyrывa go z transu.

– Dwie minuty.

Zaraz wszystko będzie białe – myśli, widząc wirujące w powietrzu świeże płatki. Znowu słyszy ten głos. Tym razem jednak w innej tonacji.

– Jest rytm perfuzyjny! – lekarz nie kryje zaskoczenia.

– Zobacz, zespoły robią się regularne i wąskie! – ratownik wskazuje wyświetlacz.

– Powinno być dobrze!

Na twarzy ich obu maluje się słaby uśmiech.

– Dobrze? – pielęgniarka pyta z ironią.

Kobieta ma rację. Dodaje, spoglądając zmęczonymi oczyma przez szybę:

– Nawet jeśli przeżyje, to i tak nic z niego. Jest przecież cały potrząskany.

Kierowca wyłącza syrenę, wjeżdżając na podjazd. Po chwili pada krótkie:

– Na stół.

Zespół reanimacyjny przewozi nosze przez kolejne drzwi. Gdyby pacjent miał otwarte oczy, widziałby, jak sufit szpitalnego korytarza przesuwają się nad nim. Jednak jego oczy pozostają zamknięte. Ma nie być mu dane kiedykolwiek je otworzyć.

Rozstania bywają różne. Zabierają część naszego „ja”. Ludzie, odchodząc, nie mówią nawet „dziękuję”. Czasem zdarza się jednak, że ten wyrwany kawałek naszego „ja” okazuje się za ciężki, aby go unieść.

2.

Patrzy najbardziej obojętnym wzrokiem, na jaki potrafi się zdobyć. Często dopada ją jednak ciekawość. Musiał być kiedyś bardzo przystojny – myśli. Był przecież wysoki. Lubi wysokich mężczyzn. Zdaje sobie sprawę, że gdyby stanął obok, przewyższałby ją o głowę. Wiele by dała za jego zdjęcie, urywek filmu, cokolwiek, by wiedzieć, jak wyglądał wcześniej.

Może był nieśmiały? Albo samotny przez lata? – myśli. Nikt przecież go nie odwiedza. Kim był? Wygląda na nauczyciela wychowania fizycznego w liceum albo sprzedawcę komputerów – zastanawia się.

Przesuwając maszynkę do golenia, stara się nie patrzeć na jego twarz. Woli skupić się na precyzyjnym ruchu ostrza niechętnie ścinającego zarost. To pozwala nie widzieć, jak ramiona zajmują kusząco dużą przestrzeń łóżka. Nie musi widzieć tych rysów, harmonijnych, płynnych linii, których zazdrościć mogłaby większość kobiet.

Kiedy zobaczyła te pełne usta i długie łuki ciemnych rzęs, nie była pewna, czy to mężczyzna. Tymczasem taka jest jego chłopięca, delikatna uroda – frenetyczna, kusząca. W swoim dziewczęcym aspekcie przepełniona niepokojącym erotyzmem.

Dziś w równym oddechu, unoszeniu się piersi i opadaniu jest coś, czego nie potrafi pojąć. Nie umie się od tego uwolnić. W tym rytmie wyczuwa niepokój. Intensywnie krąży nad głową wypełnioną myślami w pustym pomieszczeniu, niczym kołujące jastrzębie. A przecież golili go już nie raz.

Dokładnie zna to kościste ciało – smukły, obleczony resztką mięśni skórzany worek z pogruchotanym szkieletem. Nieproporcjonalnie krótkie stopy i długi penis. Uśpiony, już niepotrzebny i zbędny, niczym zużyty kondom, żałośnie bezcelowy. Pomarszczona moszna, porośnięta gąszczem twardych włosów, choć kiedyś na pewno – co do tego nie ma wątpliwości – utrzymywana w nienagannym porządku. Tacy mężczyźni traktują przecież genitalia bardzo intymnie, z pasją, niczym Japończyk bonsai – myśli.

Wąska miednica, wyraźne żebra i dziwna dziurka na małżowinie lewego ucha. Znamię powyżej prawej łopatki. Długa i wyraźna szrama na lewej piersi nieomal stykająca się z sutkiem. Jakże jest piękny. Nawet kiedy, jak ptak skrzydłem, przykrywa to udręczone ciało pościelą, czuje zapach choroby.

Kończąc, postanawia dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Był przecież tutaj, na tym oddziale, zanim zaczęła pracować. Starsze dziewczyny będą może coś o nim wiedziały. Kim jest, a przede wszystkim kim był – zastanawia się. Pijąc wieczorem cierpkie, szczypiące krawędzie języka wino, nie potrafi przestać myśleć o „jej mężczyźnie”. Tak nazywają tego człowieka dziewczyny z oddziału.

3.

Kawa wciąż gorąca, nie daje się pić. A o tej porze, rankiem, jej zapach w dyżurce kusi jeszcze mocniej. Co za cholerna ironia losu – dziewczyna myśli, dmuchając na aromatyczny płyn. Ze spojrzeniem utkwionym za oknem ucieka myślami. Bardzo daleko od szpitalnego oddziału, w okolice wczorajszego wieczoru.

– Cześć, malutka – wrywa ją z zamyślenia.

– Cześć.

– Co słyhać w wielkim świecie?

– A skąd ja mogę, u licha, to wiedzieć? – odpowiada ponuro.

Kobieta patrzy wnikliwie. Pracują razem od kilku miesięcy. Zdażyły się zaprzyjaźnić. Pielęgniarka jest od dziewczyny starsza, więc pewnie dlatego podświadomie traktuje ją jak córkę.

– Coś nie tak?

– Wszystko!

– Natka, aż tak źle?

– Gorzej być nie może – odpowiada.

Napotkawszy wzrok, natychmiast żałuje ostatniego zdania. Przypomina sobie o wszystkich, z którymi przyszło jej tutaj pracować. Zawstydzona się. Instynktownie czuje, o czym siostra Zosia pomyślała, słysząc jej słowa.

– Gdzie twój rozsądek?

– Wczoraj widziałam go w knajpie. Śpiewał na stole, na trzy głosy z moim sumieniem i przyzwoitością.

– I co? Opowiadaj! – Kobieta zachęcająco kiwa głową.

– No właśnie. Nic.

– Jak nic? – dziwi się stara.

– No nic. Wino wypila sama. A teraz leć mi pęka.

– Niemożliwe! Jesteś przecież piękna, młoda. Widzę te wszystkie sterczące kutasy. Te spojrzenia, które nieustannie cię obmacują – wieszając palto, zaczyna trajkotać. – Masz dopiero dwadzieścia trzy lata!

– Dwadzieścia cztery.

– Gdybym ja miała dwadzieścia trzy lata... – mówi rozmarzona.

– Dwadzieścia cztery.

– ...nie popuściłabym żadnemu facetowi w okolicy.

Takiego wyznania akurat się nie spodziewała, a w każdym razie nie w takiej formie. Patrzy na Zosię krzywo znad filiżanki i parzy usta zbyt gorącym płynem.

– Nie pij gorącego, bo się poparzysz – słyszy natchmiast. – A ty? Spójrz na siebie, niczego ci nie brakuje. Znajdziesz jeszcze swojego, zobaczysz. A dopóki go nie ma, malutka, korzystaj, ile wlezie – rzuca rubasznie.

– No, no – Natalia odpowiada, kiwając głową – nie poznaję koleżanki.

– A co myślisz? Że zawsze miałam piętnaście kilo nadwagi i pępek między cyckami? Jak byłam w twoim wieku, faceci dostawali szalu na mój widok. Wystarczyło, że dotknęłam jednego z drugim i już się spuszczała. I wcale mi to nie przeszkadzało. Też powinnaś korzystać z życia.

– To nie takie proste.

– No, jeśli myślisz tylko o nim... To faktycznie.

Natalia odpowiada spłoszonym spojrzeniem. Napotykać twardy wzrok, pozbywa się wątpliwości. Chodzi o „niego”, o „jej pacjenta”. Musi zmienić temat.

– Jak często się wybudzają?

– Powiem ci coś, kochana. Pracuję na tym oddziale od dwiętnastu lat. Stąd można wyjść tylko przez tamte drzwi – mówi, pokazując ruchem głowy kostnicę.

– Ale przecież teoretycznie czasem się to zdarza.

– Tutaj nigdy.

Patrz na siebie. Obie wiedzą, o czym myśli druga.

– Wiem, że jest przystojny – stara zaczyna. – Prawdę mówiąc, nigdy przed nim i nigdy po nim nie widziałam piękniejszego mężczyzny. Tak – powtarza z naciśkiem – piękniejszego. Jest śliczny. Teraz już nie tak jak kiedyś, ale kiedy się tu pojawił, poczułam ukłucie zazdrości. Był piękniejszy od każdej dziewczyny. I co z tego? To tylko ciało. Właściwie to zwłoki. Zapomnij o nim. I powiem ci coś. Dobrze, że nie było cię tutaj, kiedy go nam przywieźli.

– Taki był potrzaskany?

– Skąd! – zaperza się stara. – To była naprawdę niezła skóra. Wy teraz mówicie „ciacho”. My – mruczy, akcentując zanadto pierwsze słowo – mówiłyśmy „skóra”.

– No tak, czasy się zmieniają.

– Ale nie dla niego. On taki będzie już zawsze. Zapomnij o nim. Nie obudzi się. Jak chcesz, zamienimy się i nie będziesz do niego chodziła.

– Nie, niech zostanie – dziewczyna protestuje, starając się ukryć rumieńce.

Wie, że Zosia to zauważa, więc musi być szczerą.

– Posłuchaj – zaczyna – wiem, że będziesz się śmiała, ale jest w nim coś takiego, co mnie interesuje. Lubię do niego przychodzić. Nie wierzę, żeby się obudził, ale lubię go.

– I fajny jest, co?

– No. Kiedyś musiał być atrakcyjny.

– Był.

– Pamiętasz, gdy go przywieźli?

– Jasne. Następnego dnia rozwodziłam się z moim starym. Tak się jakoś złożyło – wyjaśnia, wzruszając ramionami. – Zapamiętałam dobrze. W pierwszej chwili myślałam, że jest po prostu wysoką kobietą. Miał dłuższe włosy, był świeżo ogolony i na łóżku widziałam tylko twarz. Kiedy okazało się, że nie ma biustu, a za to ptaka między nogami, poczułam się dziwnie.

– Jak?

– Byłam zawstydzona, przed sobą.

– Czemu?

– Patrząc, widziałam kobietę. I ona bardzo mi się spodobała. Rozumiesz?

– Erotycznie?

– Właśnie. Poczulałam się jak lesbijka. A przecież nigdy mnie kobiety pod tym kątem nie interesowały. Dopiero po chwili, kiedy okazało się, że jest jednak mężczyzną, odetchnęłam.

– Skąd się wziął tutaj?

– Nie wiem dokładnie. Był dawno po operacji. Po-składali, co się dało. Poczekali, aż wydobrzeje, i tyle. Do umieralni.

– A wiesz, co mu się stało?

– To ty nic nie wiesz, malutka?

– A skąd miałabym wiedzieć?

– No tak, jasne. Nie możesz – reflektuje się stara. – To samobójca.

– Co?

– To, co słyszysz, kochana. Wyskoczył z balkonu.

– Takie ciacho! To znaczy, skóra taka – poprawia się z uśmiechem.

– No...

– Dziwne, nikt go nie odwiedza – draży temat.

– Ale nie zawsze tak było.

– Nic dziwnego! Faceci są jak kible. Albo zajęci, albo zaszrani. A taki jak ten na pewno był zajęty, więc jakieś musiały go odwiedzać. Kto do niego przychodził?

– Psy – stara mówi przez zęby.

– Policja, znaczy?

– Tak.

– O kurczę! Tego się nie spodziewałam. To mamy niezłą historię.

– Przychodzili krótko. Myśleli, że się wybudzi.

– A rodzina?

– Nie wiem, różni, pewnie przyjaciele, koledzy. Przeważnie raz, a potem drugi i koniec. Nie każdy potrafi to znieść. Wiesz, jak to wygląda. Najdłużej przychodził jeden, łysawy, zawsze zarośnięty, też pies. Raz nakryłam go, jak płakał przy nim. Dziwne, co?

– Faktycznie – Natalia przyznaje zdziwiona.

– Ludzie znają człowieka takim, jakim był przed śpiączką. A potem chcą odwiedzić tego samego czło-

wieka. Przychodzą tutaj, do umieralni, i czeka ich zającebiste rozczarowanie. A z nim ból, cierpienie i masa nieszczęścia. Ludzie tego nie chcą.

– Boją się.

– I wstydzą – stara uzupełnia natychmiast. – I nawet jeśli ktoś, z tych tutaj – wskazuje głową pacjentów – był kiedyś przyjacielem, mężem, kochankiem, narzeczonym czy kumplem, przestają przychodzić. Zostają tylko matki. Ale jeśli ich już nie ma, po kilku miesiącach wszyscy śnią ten swój śmiertelny sen tylko z nami, malutka.

4.

Następnego dnia, pogrążona w myślach, otwiera drzwi do „jego” sali. Oczywiście nic się nie zmienia. Leży na wznak, jak zwykle z rurką wetkniętą w nos. Oddycha równo.

Postanawia przewietrzyć pomieszczenie. Podchodzi do okna i otwiera. Wie już, że dziś ma jeden z tych dni, kiedy nie umie opędzić się od chandry. Widzi swoje odbicie w szybie. Czuje się gruba i brzydka.

– Możesz powiedzieć, co ze mną jest nie tak?

Oczywiście zdaje sobie sprawę, że pogrążeni w śpiączce nie odpowiadają, więc nie czeka na odpowiedź.

– No i jeszcze to! – rzuca niemal natychmiast ze zdwojoną złością.

Stare, wypaczone ramy okien nie chcą puścić.

– Wszystko pod prąd. Nieustające pasmo sukcesów – głośno kpi z siebie. – Jak długo można tak żyć?

Wreszcie okno z hałasem puszcza i do sali napływa świeże powietrze. Na chwilę przystaje oparta o parapet. Patrzy na ludzi przed szpitalem.

Odwróciwszy się, spogląda w kierunku nieruchomego mężczyzny. Odpowiada jej równy, niczym niezmacony oddech. Bierze do rąk kartę informacyjną.

– U ciebie sprawa jest jasna – mówi. – Leżysz tutaj już rok. Twór siatkowaty w pniu twojego mózgu został uszkodzony, cokolwiek to znaczy. Żyłeś jeszcze dwa, może trzy tygodnie, po tym jak wyskoczyłeś z tego cholernego balkonu. Teraz twój stan jest tylko wegetatywny.

Przerywa na chwilę. Odpowiada jej rytm jego oddechu. Raz, dwa, raz, dwa. Wdech, wydech. Wdech szybszy, wydech dłuższy. Pomiedzy nimi krótka pauza na ciszę. Bez zmian. Bez szans na cokolwiek.

– Chociaż, wiesz, chyba nie do końca – mówi. – Twoje życie zależy od kogoś innego. A twój sen to takie zawieszenie pomiędzy życiem a śmiercią. Dobra, okej – zdaje się rozmawiać z mężczyzną, jakby ją słyszał i mógł odpowiedzieć – wystarczy.

Czuje, że gdy mówi, jest jej lżej. Ta specyficzna rozmowa pomaga. On jej pomaga. Zalegające w jej wnętrzu rozgoryczenie ustępuje.

– Dość. Powiedz, dlaczego to zrobiłeś – stojąc dokładnie naprzeciw łóżka, w nogach chorego, wciąż patrzy w kartę informacyjną.

Wcześniej zrobiła to tylko raz. Na początku. Kiedy zaczęła tutaj pracować. Czyta uważnie. Imię i nazwisko pacjenta: Maksymilian Szulc. Lat: trzydzieści.

– Nigdy nie pomyślałabym, że jesteś już taki stary – komentuje. – Wyglądasz najwyżej na dwadzieścia pięć. Reakcja ruchowa w skali Glasgow – czyta – jeden punkt. Kontakt słowny – jeden punkt. Jedyńka – brak reakcji.

– Co spowodowało, że taki przystojniak wyszedł na balkon i skoczył? Byłeś zakochany? Zostawiła cię dziewczyna? Miałeś długie? Wiesz, w pewnym sensie jesteśmy do siebie podobni. Ale nigdy bym tego nie zrobiła. – Odkładając kartę, znów widzi wystającą spod kołdry stopę. – Dlatego masz jaja – dodaje.

Odpowiada jej cisza. Wdech, wydech. Wdech, wydech.

– Jak do ciebie mówili?

W odpowiedzi znów słyszy wyłącznie oddech. Raz, dwa. Wdech, wydech.

– Maks? Maksymilian? – szepcze.

Cisza. Nigdy wcześniej nie mówiła do niego po imieniu. Zatrzymuje wzrok na stopie, wciąż przypominającej o niewymiarowym penisie.

Może jest mu w tę stopę zimno? – przychodzi jej na myśl. Okrąża łóżko, by znaleźć się z boku i przeciągnąć pościel. Zaskakujące, ale kilka zdań wypowiedzianych w kierunku mężczyzny w śpiączce pomaga. Czuje się dużo lepiej.

– Wiesz, gdybyś był moim facetem, nazywałabym cię po swojemu. Pieszczotliwie. W sumie – waha się chwilę – czemu nie? Będę tak do ciebie mówiła – postanawia z uśmiechem. Pochyliła się nad łóżkiem. – Maksik – szepce do ucha.

W chwili gdy usta wypowiadają to imię, kątem oka dostrzega, jak pacjent zaciska dłoń w pięści. Cofa się natychmiast. Prawdę mówiąc, odskakuje błada od łóżka. Zdziwił ją, zaskoczył, przeraził. Przecież chorzy często mrugają, czasem nawet mruczą lub się uśmiechają, więc nic dziwnego, że poruszył dłońmi – myśli. – Ale... On nigdy tego nie zrobił. Tym bardziej reagując na dźwięk własnego imienia.

Dziewczyna nie ma wątpliwości, że ruch był świadomy. Mówi jej to intuicja. Tyle że rozsądek podpowiada: to niemożliwe.

5.

Tak mam na imię – Maks. Maksik – mówili niektórzy. Maksymilian, tak nie lubilem – myśli – nim stałem się ścierwem, które słyszy i czuje w bezsilnym oczekiwaniu na wybawienie. To nawet nie czyściec. Najwyżej przedsionek piekła. Jak gdyby wcisnięto mnie w rurę i zalano betonem. Trwam w ciemnościach, w zawieszeniu, w bezruchu. Niczym potępieniec w najciemniejszym z ciemnych, cichych miejsc własnego umysłu. Ze świadomością obok świata, gdzie do niedawna wiodłem życie, i z ciałem po drugiej stronie. Przed zatrza-

śniętymi drzwiami, za którymi czeka mnie nie wiadomo co. Może to samo co teraz, tyle że bez snów? – jego myśli, jak nietoperze nocą, w ciszy mkną w udręczonym chorobą umyśle.

Nie zdawałem sobie sprawy, że pogrążeni w śpiączce zachowują świadomość. Kogo to obchodzi? – zdaje się pytać i odpowiada sam sobie: – w tej chwili tylko mnie. Nawet ona ma to gdzieś – kieruje świadomość w stronę pielęgniarki.

– Jak do ciebie mówili? – słyszy nagle jej głos.

Pamiętam, że Maks, Maksymilian – chciałby powiedzieć. Ale nie może. Nie słyszysz mnie i nic cię to nie obchodzi. A ja nie wiem nic więcej. Kim byłem? Czym się zajmowałem? Nic, pustka, jak biała kartka – refleksja odbija się od jej słów.

Kartka. No właśnie. Jest, lecz nie wiem dlaczego – myśli. Jak ocean aż po widnokrąg nieskalany żaglem wspomnienia. Pustynia w ceglanym kolorze, niezabarwiona słońcem. Wirujące płatki śniegu, gdy leżę bez bólu wpatrzony w niebo i z wolna zapada ciemność. Świeży powiew chłodnego powietrza. Szczegóły mej kalekiej pamięci są jak piasek przesypywany między palcami.

– Maks, Maksymilian – znów słyszy.

Tak jak powiedziałaś przed chwilą – zdaje się krzyczeć. Ale wciąż otacza go tylko cisza. Nie pamiętam, nic nie pamiętam! – świadomość istnienia to niepojęte dla niego cierpienie.

Moje wspomnienia są jak ptasie gniazdo pełne splątanych źdźbeł. Staram się pójść za jednym z nich i pociągam wolno, uważnie, by go nie zerwać. Po chwili przekonuję się, że nagle ono się kończy. Wyciągnąłem właśnie początek. Nie umiem odnaleźć końca. Znowu biała kartka i pojedyncze czcionki układające się w słowa.

Gdybym tylko wiedział, zapadłym w to cholerne oczekiwanie na śmierć z workiem pełnym wspomnień. Mógłbym wracać do życia teraz, kiedy nikt nie potrafi zdecydować, czy mam żyć, czy umrzeć. Choć może i dobrze, że nie pamiętam prawie niczego? – zastanawia się chwilę.

Nie mogłem za życia być bardziej samotny niż teraz – niemal natychmiast przychodzi refleksja. Bardziej pojedynczy niż tutaj, z nadzieją na koniec, która każdego dnia rodzi się znowu. Śpiączka jest najwyższej zorganizowaną torturą samotności.

Och, co za skurwysynstwo! – klnie na swój los. Nikt nie słyszy głosu wytłumionego przez sparaliżowane ciało. Zaciskam pięści, wbijając paznokcie w skórę, z nadzieją na ból, ale on nie nadchodzi. Nie umiem żyć z takim brzemieniem. Nie potrafię też umrzeć. Nie istnieję. Tylko śnię wciąż niekończący się, okrutny sen.

– Maks, Maksymilian – jej słowa znowu docierają do niego jak echo. Jest w nich coś okrutnego.

O tym, co ją spotkało u niego, natychmiast opowiada Zosi ze szczegółami. Pomija pewne, mniej istotne szczegóły. Jak to, na przykład, co czuła.

– Rozumiem – Zosia odpowiada z namysłem.

– Wiedziałam, że nie uwierzysz.

– Ależ ja ci wierzę, maleńka. Tylko że jestem trochę starsza i mam inne pojęcie o tym, co tutaj się dzieje, i...

– ...i o miłości?

– O życiu.

– I co z tego?

– To – Zosia mówi spokojnie – że nie znasz tej historii. Patrzysz przez pryzmat jego wyglądu. Masz nadzieję, że się obudzi, bo jest atrakcyjny, i chwytasz się, jak tonący brzytwy, każdego sygnału, że tak może się stać. Tymczasem wokół ciebie wszędzie roi się od prawdziwych facetów, którzy wiele by dali, by schrupać cię jak pętko kielbasy. Zamiast korzystać z życia, uciekasz w świat marzeń, oddalając się od rzeczywistości.

Patrzą na siebie chwilę w milczeniu i wiedzą, że to prawda. Ale Natalia nie umie być inna. Musi płynąć pod prąd, by dotrzeć do źródła.

– Wiem.

– Prawdopodobieństwo, że on się kiedykolwiek obudzi, wynosi jak jeden do stu tysięcy. Już lepiej zagraj w totka – radzi Natalce. – Jak trafisz, przynajmniej

będziesz bogata. A on, gdyby nawet się obudził, po pierwsze, będzie dalej kaleką, po drugie, jaką możesz mieć pewność, że będzie chciał się z tobą przyjaźnić? Nie mówiąc już o czymś więcej.

– Ale to było takie realne, takie prawdziwe. Wypowiedziałam głośno jego imię i natychmiast zacisnął pięści, jak gdyby go to rozwścieczyło.

– Widziałam już wiele lez. – Zosia patrzy na dziewczynę z pobłażaniem. – Niejedna matka tutaj płakała, i to ze szczęścia, choć nad synem w śpiączce. Wcześniej skakali do wody i łamali kręgosłup albo roztrzaskiwali się na motocyklach, zaraz po osiemnastych urodzinach. Potem ich matki przez lata tutaj przychodziły i pewnego dnia nagle płakały, bo chore dziecko uśmiechało się przez sen albo otwierało oczy na chwilę. Ale to niczego nie zmieniało. Rozumiesz? Nadal spali, a one wędły. Twój mężczyzna się nie obudzi. Zapomnij o nim. Szukaj szczęścia w realnym świecie. Im wcześniej zrozumiesz, że to już nie człowiek, tym lepiej dla ciebie.

– Co masz na myśli?

– Dziwisz się? Pracuję tutaj od dziewiętnastu lat. Gdybym nie widziała tego, co tutaj się dzieje, może sądziłabym inaczej – ciągnie. – Kiedyś myślałam jak ty, ale po latach między nimi zrozumiałam, że nieutrzymywanie ich byłoby lepsze.

– Co ty wygadujesz?!

– Nie gorączkuj się.

– Powinni być odłączani?

– Kiedyś zrozumiesz.

– Nie rozumiem! – dziewczyna protestuje, splatając ręce na piersiach. – Wierzę w Boga. Jestem katoliczką i nie zgodziłabym się zabić człowieka.

– Przestań pieprzyć! Też chodzę do kościoła, jak pół Polski. Wierzę, że coś po śmierci nas czeka. Ale czy to jest Bóg, nie wiem. Wiem jedno. Pogadamy za pięć lat. Kiedy zrozumiesz, jakim ciężarem dla rodziny jest taki człowiek.

– Ciężarem?

– A czemu przestają ich odwiedzać?

– Nie mogą znieść ich cierpienia.

– Gówno prawda, ale blisko, maleńka. Nie mogą znieść własnego cierpienia, nie ich. Swojego. Ludzie nie chcą słyszeć, że komuś jest źle, że cierpi. Nie mogą na dłuższą metę na to patrzeć, bo to nieprzyjemne. Bo to boli. Nie potrafią w tej strasznej chorobie znieść widoku człowieka, którego kiedyś kochali. Bo z niego zostaje tylko ciało, resztką ciała, nic więcej. Więc przestają przychodzić. Dlatego powinniśmy pozwolić chorym umrzeć, a tym, którzy pozostali – otrząsnąć się z bólu i żyć.

– A gdyby zareagował raz jeszcze? – Natalia po chwili milczenia ryzykuje opór. Nie zgadza się z rozumowaniem koleżanki. W słowach dziewczyny są tylko emocje.

– To się nie zdarzy. – W pełnych pragmatyzmu i doświadczenia słowach Zosi jest także litość.

– Nie wierzę.

– Nie radzę sprawdzać.

– Dlaczego?

– Bo mogłoby to oznaczać, że ma kontakt z nami. I jakaś jego część nie umarła. Chciałabyś być tego świadoma? – pyta, ale zamiast słów słyszą tylko miarowe tykanie zegara w dyżurce.

Tik-tak, tik-tak... Natalia wie, że Zosia ma rację. Jeśli tamten mężczyzna zachował świadomość, to jest w okrutnym więzieniu własnego ciała.

– Wciąż nie mogę pojąć – zmienia temat – jak można skoczyć z balkonu.

– Skok był raczej przypadkowy.

– Nie rozumiem.

– To samobójstwo impulsywne. Było o tym głośno.

– Głośno?

– W telewizji, w gazetach.

– Czemu?

– Pamiętam tę sprawę. Rozwodziłam się ze starym. Mówiłam, samobójstwo impulsywne. Podobno dostał list, wyszedł na balkon i skoczył. Na dole stał samochód. Wiesz, taki ze skrzynią ładunkową. Dlatego nie zabił się na miejscu.

– Rzuciła go dziewczyna? – Natalia czuje, że koleżanka coś ukrywa. Ta zaś spogląda na nią smutno.

– Raczej nie – odpowiada po chwili.

– Skąd wiesz?

– Bo pochował ją tydzień wcześniej, żonę właściwie.

– Wiadomo, co było w liście?

– I to jest najciekawsze w tej historii.

7.

Staram się wszystko zamknąć najbardziej ścisłą ramą czasu, jak gdyby miało to jakiekolwiek znaczenie: od do, od kiedy, do której. Dziesiątki możliwości, by precyzyjnie dookreślić. Fantastyczne zamiłowanie do zbędnych przysłówków.

Leżąc w kojcu własnego ciała, poddaję się tej presji. Nanizuję wspomnienia na sznurek przeżyć, przypominając sobie kawałek po kawałku fragmenty mojej historii. Zbliżam się nieuchronnie do chwili, kiedy nastąpi jej kres, co zdaje się nader atrakcyjną wizją. Gdy skończę, nic nie będzie już takie samo jak teraz.

Muszę zranić się wspomnieniami – myśli – by wiedzieć, dlaczego jestem mordercą. Raz jeszcze wbić sztylet w swe serce, by sprawdzić, czy nadal jestem człowiekiem. Kim byłem, kim jestem i za co zabiłem sam siebie. Uciec od tego nie mogę. Nie wolno mi, choć tak byłoby prościej. Wszak nikt nie chce słyszeć niewygodnej prawdy o sobie. Tymczasem muszę ją odkryć. Więc gram uwerturę zapomnienia w pożądanym przeświadczeniu, że oto jutra mogłoby nie być.

Zabawmy się tym, co zostało. Może pamięć powróci, a przedstawienie naprawdę się zacznie? Obnażę się jak zboczeniec w parku przed uroczą wystraszoną szesnastolatką. Tylko jak mam to zrobić? Jak sobie przypomnieć, gdy w pałacu pamięci wciąż pełno za-

mkniętych komnat, których nie sposób otworzyć? A kiedy walę w drzwi, nagle otwierają się inne i wchodzę, gdzie wcale nie chciałem, kiedy słyszę te jej:

– Maks, Maksymilian.

Jest w jej słowach coś okrutnego. Kiedy je wypowiada, jakieś wspomnienie dopada mnie, obejmując bólem.

– Maks, Maksymilian – słyszę, lecz poza oderwanymi od reszty słowami nic nie pamiętam.

Dlaczego dźwięk własnego imienia tak boli? I ta niezdolność świadomości, że dalej czai się hipnotyczna wizja, która nieubłaganie nadchodzi. Czuję, że przyjdzie i ziści się nagle w najmniej nieoczekiwanym momencie podróży w głąb siebie. Z naciśnięciem kolejnej klamki następne drzwi skrzypną lekko, odsłaniając retrospekcję starego świata.

Wypływam z siebie to, co było niemym krzykiem. Wywalam widłami gnój z obory mojej historii i wiem, że dziewięćdziesiąt dni ma jakieś znaczenie. Rama, w której pojawi się obraz. Czuję w tym, ledwie wyczuwalny, amforyczny cień jakiejś miłości. Innej możliwości nie odnajduję, poza delikatnym ukluciem, że mogę się mylić. We śnie nic przecież nie może być pewne.

8.

Wpuszczę ci więcej świeżego powietrza – mówi, otwierając okno.

Tym razem jednak rama nie sprawia problemów. Do jego nozdrzy dociera wilgotny zapach kory, opadłych liści i żywiczna woń iglastych drzew.

Patrzy na mężczyznę. Zastanawia się, czy znów wypowiedzieć na głos jego imię, by sprawdzić reakcję. Postanawia zaczekać. Może Zosia ma rację? – myśli.

– Rozmawiałam – zaczyna, przygotowując przybory do golenia – z Zosią na twój temat. Uważa, że nigdy się już nie obudzisz. Nie wiem, co o tym myśleć.

Zarósł już gęstą i równą szczecina. Dawno zauważyła, że jego twarz najpierw pokrywa delikatny, niemal niewidoczny włos i stając się dłuższy, stopniowo przypomina barwę smoły. Wtedy przybiera męski, niemal prymitywny w swoim pięknie wyraz. Z czasem, gdyby nie golić go przez kilka dni, pojedyncze włosy nagle i nieoczekiwanie zaczęłyby wpadać w zupełnie jasną, prawie siwą barwę.

Z czarnym, kilkudniowym zarostem lubi go najbardziej. Ogolony wygląda na młodszego. Ale też bez kuszącego, brutalnego cienia męskiej urody staje się pięknym, kuszącym chłopcem. Wystające kości policzkowe i zapadnięte policzki budzą w niej instynktowny lęk, a jednocześnie magnetyzm – myśląc o tym, zbliża ostrze maszynki do miejsca tuż przed uchem, gdzie zarost łączy się z włosami na głowie.

– Ciekawe, od którego miejsca zaczynałeś się golić – mruczy. Plucząc maszynkę, dodaje: – Zosia uważa, że takich jak ty powinniśmy odłączać od aparatury.

Kolejne spojrzenie wywołuje szok. Znów odskakuje od łóżka, jak gdyby pościel przemieniła się w kulę ognia. Widzi wyraźnie, jak kąciaki ust się uniosły. Maks się uśmiecha. Przerażona, niemal w afekcie, zapominając o słowach koleżanki, rzuca natychmiast:

– Maks! Maksymilian, słyszysz mnie?

Jej oko rejestruje, jak mężczyzna zaciska pięści.

– Maks! Jeśli mnie słyszysz – szepce – otwórz oczy.

Raz, dwa, wdech, wydech, raz, dwa, wdech szybszy, wydech dłuższy. Pomiedzy nimi krótka pauza na ciszę. Nic. Chwila, niczym promyk słońca, zgasła bez śladu. Znikł jego uśmiech. Rozluźnia dłonie. Pozostaje ciche unoszenie się i opadanie klatki piersiowej w rytm pracy płuc: raz, dwa, wdech, wydech.

– Maks! – powtarza.

Po chwili napięcia rozumie, co się wydarzyło. Zafundował jej garść nadziei, o jakiej Zosia opowiadała wczoraj w dyżurce. W nagłym odruchu pragnie dotknąć udrećzonej twarzy. Przesuwa dłonią w powietrzu ku niemu i w tej samej chwili dostrzega czerwoną kropkę roztrzaskującą się na górnej wardze mężczyzny.

– Cholera jasna – klnie, cofając rękę.

W pierwszym odruchu wkłada palec do ust i czuje słodkawy smak krwi.

– Widzisz, przystojniaku, co przez ciebie sobie zrobiłam – mruczy, oglądając na opuszkach palca dwie cienkie kreseczki, z których wypływa ciemnoczerwona

krew. – Przez te twoje wyglupy się skaleczyłam – narzeka.

Odwraca wzrok i nieruchomieje. Leniwie po policzku pacjenta toczy się wielka łza. Patrzy jak zahipnotyzowana. Kilka sekund po pierwszej tym samym torem po ogolonym policzku płynie druga, łącząc się na włoskach zarostu z pierwszą.

Więc to, co jej zafundował, nie było fizjologicznym wybrykiem? – myśli. Zapomniawszy o palcu, patrzy na Maksa. Dziewczyna nie ma wątpliwości. On czuje.

9.

Nie pamiętam jej twarzy, lecz przed zaszytymi śpiączką oczyma mam symbol: B Rh+ i mdły, słodkawy smak krwi zanieczyszczonej uczuciem w ustach.

Zbyt silna, żeby okazać słabość – słyszę. Zbyt słaba, by wytrwać w sile – kolejne reminiscencje dopadają i szarpią jak wilki.

O, muzy moje kochane! O, moja Mneme! Pomóż, wszak płonę namiętnością powracających chwil. A chcę tylko wspomnień. Ich sok spływa po brodzie, lepki i słodki jak dojrzała w słońcu brzoskwinia. Jak ta krew na ustach – jest ogniem mych lędźwi, żagwią mojej miłości. Zanim skosztuję rajskiego owocu, chcę wiedzieć, pamiętać.

Erytrocyty i leukocyty zawieszone w osoczu to dla mnie drzwi do tego, co było. Jesienne słońce, ciepły

wrześniowy dzień, plac Wolności w Opolu. O tak! Przecież to tam wszystko się działo, pamiętam.

Wróciłem do niemowlęstwa i znów widzę dźwięki. Wiem dziś, jako warzywo, co to synestezja. Mógłbym narysować jej głos. Charakterystyczny, nie pomyłę go z innym. Jej ton, gdy miała świetny humor, kiedy się martwiła czy też złościła, jest moją częścią gdzieś pod mostkiem.

– Oddawałeś kiedyś krew? – pyta.

– Nie.

– Oddamy? – rzuca z uśmiechem przetkanym wahaniem. – Zawsze chciałam to zrobić. Nie miałam tylko jakoś okazji – dodaje.

– Więc chodźmy.

– Taaak? – Samogłoska w jej ustach ma smak pytańnika i zapach gorzkich migdałów jak u Márqueza.

– Zaskakujące, że jest taka gruba – mówi, patrząc na igłę.

Jej policzki przybierają odcień świeżego śniegu.

Nie wiem, kim była. Ust, rzęs ani zapachu też nie potrafię przywołać. Zamiast tego coraz bardziej drażni mnie nieznośna świadomość, że ów zwiewny strzępek z zeszłego życia powoduje ból w piersi. Przecież niżej z połamanymi kręgami nie mogę niczego czuć.

Snując tę frenetyczną pajęczynę, pojmuję, że gdyby nie ona, nie byłoby mej zbrodni. Nie byłoby mnie teraz. Każdy Frank La Salle widocznie musi mieć swoją Annabel Leigh, Ariza własną Feminę. Ja także.

Powinienem ją nazwać. Po pierwsze będzie to oczywiście z gruntu fałszywe imię, bo nie pamiętam go. Po drugie, wiem, że nie powinienem wyjawiać jej prawdziwego. Choć wkrótce je zmyślnie przemycę. Skąd jednak to wiem? Czyżbym był w zeszłym życiu alfonsem albo pisarzem? Zresztą co za różnica!

Wiadomo, że imię trzeba utajnić. Inicjały wszystko mogłyby rozwiązać – ciśnie mi się do głowy – lecz to pomysł gminny, żenująco prosty. Jako obowiązujący odrzucam go z obrzydzeniem. Taki wybór nie grzeszy fantazją, polotem i smakiem. Przyznaję jednak, że jest w nim coś kuszącego, szczególnie że pamięć kulawa przywodzi na myśl dwie identyczne litery.

Spróbuję i tę wizję, chytrze, acz mściwie, z jaźni wydobyć. Więc uroczyście zanurzam się w siebie, jak aramejska cudzołożnica z ewangelii, trzykrotnie w maju: 25, 27, 29. Lecz teraz na co dzień, bez miłości. Tak, jak nie lubiłaś. Tak, jak nigdy do ciebie nie powiedziałem.

– Maks! – przecinek znów dopada mnie z zewnątrz. To koma jest czy amok?

Niech będzie Weronika.

10.

Wchodząc do niego, Natalia ma często wrażenie, że to najbardziej przytulna sala na oddziale. Teraz, idąc krok w krok za ordynatorem, nie myśli o niczym jak tylko o obawach. Nagle dopadły ją wątpliwości.

– Panie doktorze...

– Tak?

– Ja wiem, że zajmuję pana czas i może się myłę, ale tak było naprawdę – zaczyna.

Ordynator jest wysokim, barczystym mężczyzną z siwizną na skroniach. Zwalnia kroku. Zatrzymuje się przed drzwiami i spogląda na pielęgniarkę. Potem przenosi wzrok na uśmiechającą się ze smutnym zrozumieniem Zosię.

– Pani Natalio – mówi – zauważyła pani w zachowaniu pacjenta objawy sugerujące, że koma się cofa?

– Jestem przekonana, że tak.

– Rozumiem. A teraz boi się pani, że ich nie zauważę?

– Właśnie.

– Proszę się nie obawiać. Zrobiła pani, co należało. A co się dzieje, zobaczymy. Ocenimy. Może pani ma rację, a może się pani myli. Medycyna to nie wróżenie z fusów. Sprawdźmy.

Maks słyszy głęboki głos. Odkąd usnął, najważniejszymi jego zmysłami są słuch i węch. Wyobraża sobie tego mężczyznę jako dużo starszego, niż jest w rzeczywistości.

– Osobiście uważam, że nie ma powodów, aby pani nas okłamała. Jednak sędzę, że się pani myli. Ten pacjent, uwzględniając jego stan, nie może się wybudzić. Oczywiście medycyna zna różne przypadki. Jednak jest mało prawdopodobne, aby pozostała w nim jakakol-